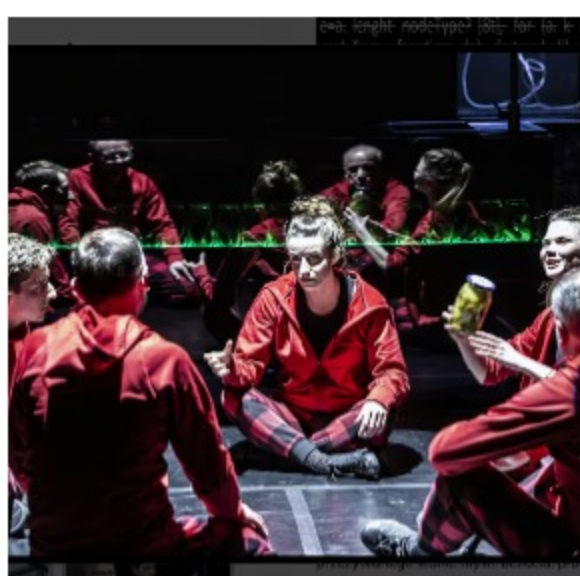


Skąd pszczoła w moich wspomnieniach?

Pogłosy, inscenizacja: Marek Fiedor / Tomasz Hynek, Wrocławski Teatr Współczesny.

Henryk Mazurkiewicz

aAaAaA



fot. Natalia Kabanow

Zajmuję miejsce na widowni i przypominam sobie galę wręczenia nagród III Konkursu Dramaturgicznego „Strefy Kontaktu”. Wtedy, jak i teraz, był początek wiosny. Dokładnie 23 marca. We Wrocławiu jak co roku w tych dniach szalał Przegląd Piosenki Aktorskiej i życie teatralne miasta orbitowało wokół Capitolu. Trudno się dziwić, że widownia Teatru Współczesnego, chociaż po miesiącach remontu po raz pierwszy przyjmowała gości w swej odnowionej siedzibie, świeciła pustkami. Ja też do ostatniej chwili się zastanawiałem, czy przyjąć zaproszenie. W końcu jednak postanowiłem się wybrać. Przede wszystkim ze względu na przygotowane na taką okazję czytania performatywne. Była to właściwie zaprezentowana na Dużej Scenie seria obdarzonych własnym charakterem i ubranych w oryginalny kostium minispektakli, mających przybliżyć zebranym niektórym z finalistów tego teatralno-literackiego wyścigu. Wśród nich najlepiej zapamiętałem akurat Pogłosy. Zupełnie natomiast wyleciało mi z głowy, że debiutancka sztuka Wita Szostaka oprócz trzeciej nagrody w konkursie dostała też osobne wyróżnienie w postaci realizacji tego dramatu na scenie.

Ale zanim o spektaklu Marka Fiedora i Tomasza Hynka, jeszcze kilka słów o wspaniałym występie Ziny Kerste. Pomysł był prosty. Aktorka, nieco schowana w głębi sceny za poksiglasowymi tabliczkami, odczytywała zapisany na nich tekst. Robiła to powoli, ostrożnie, jakby słowa dopiero pod naciskiem jej spojrzenia niechcący ujawniały swe sensy. Raz za razem powtarzała właściwie to samo. Zdania-obrazy. W każdej kolejnej wersji coraz to krótsze. Opowiadana historia kurczyła się, odsłaniając to, co ukryte i esencjalne. Jak gdybyśmy oglądali nagranie rozwoju rośliny puszczone wstecz i doszli do tego punktu, w którym pestka wylania się z gleby i z powrotem trafia do ręki niewiadomego ogrodnika. Owym jądrem okazało się ciche i nieznosne w swej nieodwracalności – „umarłam”.

Przejmujący to był i dotkliwy performans. Skrajnie minimalistyczny w swych środkach, lecz w pełni władający uwagą. Hipnotyzujący. To o nim mógłbym z całą pewnością powiedzieć to, co notka programowa w pierwszym zdaniu stwierdza względem najnowszej realizacji: „Bohaterem *Pogłosów* jest człowiek przeżywający śmierć bliskiej osoby”. Natomiast tej drugiej bardziej odpowiadają wstępne uwagi autora do własnej sztuki, w których uprzedza, że „OSOBAMI DRAMATU są słowa”. Szostak, próbując wytłumaczyć się z własnych dramaturgicznych wyborów, pisze o swoich nietypowych „bohaterach”, że „to one wchodzą w relacje, rodzą napięcia, przeobrażają się w zależności od kontekstu. Ich przygody stanowią *mythos* dramatu. Głosy, w których słowa wybrzmiewają, nie są zatem przypisane do postaci, a podział na akty i sceny odpowiada nowym miejscom, gdzie zaczynają żyć słowa-osoby”. Czuje się przy tym zmuszony dodać: „Taka dramaturgia słowa potrzebuje aktorów i przedstawienia. Dopiero wtedy życie słów może się ujawnić. Dlatego tekst ten został napisany dla teatru”.

W prawdziwość tej ostatniej deklaracji akurat nie wątpię. Nawet zważywszy na to, że struktura *Pogłosów* raczej przywodzi na myśl *Traktat logiczno-filozoficzny* Ludwiga Wittgensteina skrzyżowany z brudnopisem czyjegós intymnego dziennika, niżli sztukę „po bożemu” napisaną. Czytając ją (a jest dostępna na stronie internetowej konkursu), błąkamy się w labiryncie jakiegoś zagadkowego algorytmu. Przemieszczamy się od punktu do punktu, różnica między którymi sprowadza się do zaledwie jednego czy dwóch dopisanych słów, przedstawionego przecinka czy kropki, potrafiących jednocześnie podważyć czy wręcz zanegować wcześniej przekazane treści. Nie jest to z pewnością rzecz łatwa do wystawienia, ale nazwać ją zupełnie nieteatralną, nazbyt awangardową i dotychczas niespotykaną też nie wypada. I nie takie dziwostki na scenie wystawiano. Ze wspomnianym opus austriackiego filozofa włącznie.

Moje wątpliwości i zastrzeżenia budzi co innego. Mianowicie owo wstępne założenie, że słowa mogą być osobami. Jeszcze raz – nie bohaterami i nie postaciami, tylko osobami. Zawsze uważałem, że jest to zwyczajnie niemożliwe. I żeby długo się nad tym nie rozwodzić, ograniczę się do jednego ważnego kryterium – cierpienia. Czy słowa są zdolne do cierpienia? Jeżeli nie odlatywać w poetyckie kosmosy, odpowiedź jest oczywista – nie, słowa nie cierpią. Więc jaki będzie poziom mojej empatii i zaangażowania wobec czegoś, co z natury swej nie czuje żadnego bólu? Dość nikle. Wygląda na to, że ten nieszczesny postmodernizm, który tak zachłannie w ostatnich dziesięcioleciach przerabiała nasza kultura i który, jak większość „izmów”, naiwnie wierzył w swoją uniwersalność, znacznie wykrzywił wyobrażenia o naszym zamięłowaniu do abstrakcji. Piszę o tym wszystkim, żeby spróbować sprecyzować przyczynę tego, że spektakl mimo swej, wydawałoby się, dość jednolitej struktury i skupienia się na jednym przewodnim temacie wyszedł, przynajmniej w moim odbiorze, nierówny. Ciągłe balansujący w jakimś zasadniczym punkcie. Tym punktem okazała się granica między dwoma wspomnianymi dopuszczeniami. Mówiąc prościej, w tych momentach, kiedy nie wątpiłem, że „bohaterem *Pogłosów* jest człowiek przeżywający śmierć bliskiej osoby”, przedstawienie stawalo się dla mnie żywe i znaczące. Natomiast kiedy jasno czułem, że to tylko słowa, niech tam że w najoczywistszy sposób spersonifikowane, zaczynałem patrzeć na próby „zbudowania między nimi napięć i relacji”, jak na średnio oryginalną i niezbyt wciągającą zabawę w formę. Dlaczego? Ponieważ przekładając tekst na teatr, duet reżyserski sięga po niezbyt odkrywczą, żeby nie powiedzieć nieźle zużytą, analogię między ludzkim umysłem i psychiką a softwareową „duszą” komputera. Ale to dopiero pół biedy. Problem w tym, że ta prostolinijna „digitalizacja”, zdominowawszy warstwę plastyczną inscenizacji, jednocześnie nie za wiele do niej tak naprawdę wniosła. Do tego stopnia, że pod koniec trudno powstrzymać się od pytania: na czym właściwie polegały zabiegi interpretacyjne Fiedora i Hynka? Ku czemu zmierzali?

Oznaczonego w programie trzema gwiazdkami głównego bohatera (tu mimo wszystko godny pochwał Przemysław Kozłowski) znajdujemy w przestrzeni umownej, oszczędnej w detale i (jakby) ultranowoczesnej. Siedzi przy otwartym laptopie w podświetlanej neonami kuchni. Najzupełniej, niemalże do ostateczności, pogrążony w sobie. Rozpaczliwie bije się z myślami i nawiedzającymi go obrazami, próbując przełożyć to wszystko na słowa. Te ostatnie, uwięzione w plastikowych boksach tylnej ściany, okablowane niczym więźniowie Matrixu, wychodzą ze stanu hibernacji i nieśmiało jak nowonarodzone zwierzątka opuszczają swoje cele. To oni/one są tymi niby-bohaterami i niby-osobami. Fragmentami zapętłonej w niekończącym się powtórzeniu narracji. Tym „rosołem, który musi być ugotowany”. „Pszczołą, która umiera na parapecie”. „Sąsiadami, co wyjechali nagle i nawet nie zamknęli drzwi”. „Pustymi krzesłami”, które są nasze... albo i nie. Dziećmi, do których należy zadzwonić, chociaż nie odbierają. Chociaż ci... są tak naprawdę kolejnym wytworem rozgoryczonej wyobraźni. „Moje wspomnienia są takie bezbronne” – głosi bodajże jedna z kluczowych mantr spektaklu. Bo *Pogłosy* to studium odwiekanego pożegnania. Rzecz o codziennym przeżywaniu/przeżywaniu cudzego odejścia. O tym, że pamięć rządzi się własnymi prawami. Dlatego nieustannie, dotykając pustki słowami i śniąc przeszłość na jawie, ryzykujemy, że nigdy nie opuścimy piwnicy własnych wspomnień.

Nie powiem, podobne zanurzenie w świecie cudzej psychomachii rzeczywiście potrafi porwać i zafascynować, lecz żeby utrzymywać przez cały czas niezbędne do tego natężenie uwagi, należy chyba być w wyjątkowo odpowiednim do tego nastroju. Zwłaszcza że trwa to wszystko (mierzone czasem subiektywnym!) zdecydowanie za długo. Tym bardziej że w tym wypadku, przy braku przemysłanej dramaturgii i oryginalnych pomysłów reżyserskich, streszcza się w ostatnich dziesięciu minutach przedstawienia. W akcie czwartym i ostatnim, który u Szostaka nosi znamieny tytuł *Ubywanie*. Ale znowuż, nawet tę scenę wolę w jej wersji galowej. Ten dokładnie przypadek, kiedy mniej znaczy więcej.

27-05-2020

Wrocławski Teatr Współczesny
Wit Szostak
Pogłosy
inscenizacja: Marek Fiedor / Tomasz Hynek
wideo: Marcin Dominiak
światło: Jan Slawkowski
obsada: Mariusz Bąkowski, Paulina Wosik, Anna Blaut, Krzysztof Boczkowski, Zina Kerste, Maciej Tomaszewski
premiera: 06.03.2020

Szukaj

REGIONY

PRZECZYTAJTEZ



Leszek Pułka

Dansing na tratwie



Anna Jazgarska

„Koniec, który staje się początkiem czegoś nowego”



Henryk Mazurkiewicz

Wróble kontra Makówki



Malwina Głowacka

Przemijanie



Joanna Ostrowska

Je ne regrette rien...



Jolanta Kowalska

Epos na dwóch kółkach

BĄDŹNABIEŻĄCO



Bądź na bieżąco, dołącz do naszego newslettera

Dołącz

☐ Nie jestem robotem


reCAPTCHA
Prywatność - Warunki

Dołączając akceptujesz naszą politykę prywatności oraz warunki korzystania z portalu zawarte w regulaminie.

Projekt „Ogólnopolski portal Teatralny.pl” jest finansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programów MKiDN, priorytet TEATR



Przeczytaj

Świat

Nadesłane

Książki

Varia

Felietony

Historia teatru

Ludzie

Rozmowy

Opinie

Recenzje

Inne

Biblioteka

Redakcja

Patronaty

Współpraca

Szkola

Kontakt

Znajdziesz nas też tu:

 Facebook